

P. 7945

NASZE PISMO

miesięcznik młodzieży
Państwowego Seminarjum
Nauczycielskiego Męskiego
w Mogielnicy Grójeckiej.

Rok III.	Październik.	Nr 2.
Mogielnica	Grójecka	
1	9	3 1

T R E Ś Ć:

Bitwa pod Płowcami. Ideały (w.). Echo z nad morza. Morze (w.).
Z notatnika marynarza. Impresje jesienne (w.). Zalicanka. Ach, jak mi
szkoda (w.). Z życia internackiego. Ognisko. Kronika za wrzesień. Od-
powiedzi Redakcji. Podziękowanie. Sprostowanie.

REDAKCJA: M. Dzieciuchowicz (redaktor naczelny),
St. Lipiec, J. Dembowski.

WYDAWCA: Bratnia Pomoc.

OPIEKUN — Redaktor odpowiedzialny prof. S. Treugutt.

Adres Redakcji i Administracji: P. S. N. w Mogielnicy k/Grójca.

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI DIECEZJALNEJ
W ŁOMŻY UL. STEFANA OKRZEI № 13.

N A S Z E P I S M O

Miesięcznik młodzieży Państw. Sem. Naucz. Męskiego
W MOGIELNICY GRÓJECKIEJ.

Bitwa pod Płowcami (27-IX-1331 r.). *)

Niedawno minęła rocznica o niezmiernie doniosłym znaczeniu. Wywołała ona duży oddźwięk w całej Polsce. Spróbujmy uprzytomnić sobie to znaczenie, a jednocześnie przypomnieć dzieje owych walk z przed 600 lat.

Od r. 1308, tj. od czasu, kiedy Krzyżacy podstępnie zagarnęli Pomorze, stali się oni śmiertelnym wrogiem Polski, a od r. 1326 toczy z nimi Łokietek ciężkie boje. Epizodem pomyślnym tych walk było wtargnięcie wojsk polskich do ziemi chełmińskiej w r. 1330, co miało charakter odwetowy, za napad Krzyżaków tegoż roku na terytorjum polskie. Zakon stawiał opór, ale ostatecznie musiał podpisać z Polską rozejm i oddać część zagrabionych terytorjów (m. i. Bydgoszcz).

Rozejm ten wykorzystał zakon na gorączkowe przygotowania i już latem r. 1331 wznowił działania wojenne. Armja krzyżacka, przeprawiwszy się przez Wisłę, opanowała Bydgoszcz i skierowała się na Inowrocław, który jednak szturm odparł; najeźdźcy poszli włąb Wielkopolski, siejąc wokoło spustoszenie i dopuszczając się okrucieństw. Wyprawa ta trwała krótko i miała charakter nawskroś rozbójniczy. Celem jej było wyniszczenie Wielkopolski oraz osłabienie i unieszkodliwienie Łokietka.

We wrześniu tegoż roku Krzyżacy urządzili drugą wyprawę. Pod ich naporem padła Łęczyca. Zato mężnie bronił się stary Kalisz. Krzyżacy po dwudniowym oblężeniu, zostawiwszy pod murami 40 trupów, rozpoczęli odwrót. Łokietek do otwartej walki nie stanął, gdyż siły nasze były szczupłe (łącznie z oddziałem Wincentego z Szamotuł, armja nasza liczyła 4 — 5 tys. ludzi). Ograniczył się do napadów podjazdowych. Krzyżacy cofając się przyszli do Radziejowic. Nadszedł pamiętny dzień 27 września 1331 r. — dzień Płowiec.

Krzyżacy, po naradzie wojennej, podzielili armję na straż przednią, siłę główną i straż tylną. Dano hasło wymarszu. Straż przednia miała torować sile głównej marsz na Brześć. Straż tylna posuwała się wolno. Król postępował uparcie jej śladami i dogania Krzyżaków na trakcie Wroc-

*) Praca oparta na materiale kronikarskim, podanym w „Dziejach Polski“ dr. Paszkiewicza cz. I i w „Tekstach źródłowych“ (zeszyt 21) oraz na 2-ch artykułach Zb. Szreniawy, druk. w Kurj. Warsz. (№ 260 i 264 b. r.). Nadto wykorzystałem fragment pracy Zachorowskiego, podany w wspomn. „Dziejach Polski“ cz. I.

ławek — Poznań pod wsią Płowcami. Król uderza na wroga. Niestety, z powodu mgły Polacy podeszli zbyt blisko, nie mogli się należycie rozwinąć i silnie zaatakować wroga. Musiano się cofnąć. Czas ten wyzyskali i Krzyżacy, szykując się do walki. Pierwszy zaatakował Wincenty z Szamotuł i dokazywał cudów waleczności. Na całej linii zawrzała walka zacięta, krwawa i mordercza. Krzyżacy — dobrze uzbrojeni — wytrzymywali napór. Atak powtarzano trzykrotnie. Walka trwała około 4 godzin. Pole bitwy pokryło się trupami. Krzyżacy nie ustępowali. W rycerstwie polskim wrzała nienawiść i pragnienie pomsty. Walczono na śmierć i życie. Nagle szeregi krzyżackie poczęły się załamywać. Dzielny Łokietek umiejętnie oskrzydlił wroga, rozbił go i wziął dużo jeńców. Jakiem echem odbiło się to zwycięstwo, świadczy źródło polskie, t. zw. rocznik „Traski”.

Świetne zwycięstwo przypisuje kronikarz — łasce Bożej i jego świętych (Stanisława, Wojciecha). Na polu paść miało około 20 tys. Krzyżaków, nie licząc zabranych do niewoli. Inne źródło ówczesne, a mianowicie krzyżackie (kronika „oliwska”), podaje inaczej: Bitwa bez wyniku trwała dotąd, póki nie nadeszły przyzwane na pomoc oddziały straży przedniej i siły głównej krzyżackiej; król wyczerpany walką uszedł z pola wraz z wojskiem; zwycięstwo zostało przy Zakonie. Jak było naprawdę? Niezawodnie, w pierwszej bitwie świetne zwycięstwo odniósł król Władysław. Nadchodzące jednak posiłki nieprzyjacielskie zastały nasze wojska upojone zwycięstwem. Łokietek nie zdążył sformować szeregów. Wobec grożącego niebezpieczeństwa stanął do nowej walki, straciwszy uprzednio wszystkich jeńców. Bitwa rozpoczęła się około godziny trzeciej. Wojska krzyżackie znacznie przewyższały siły Polaków. W naszych szeregach wszczął się zamęt. Kilka oddziałów samowolnie wycofało się z pola bitwy. Król dał hasła odwrotu. Zmierzch położył kres walce. Łokietek nie dawał za wygraną. Za Płowcami uporządkował siły, by powtórnie zmierzyć się z wrogiem, ale Krzyżacy czempredziej otrąbili odmarsz. Odwrót nastąpił tak szybko, że nie pogrzebali nawet poległych. Już nazajutrz stanęli w Toruniu.

Stwierdzić więc należy, że pod Płowcami stoczono dwie bitwy. Pierwsza zakończona została walnem zwycięstwem Polaków, druga, mimo przewagi wroga, została nierozstrzygnięta.

Zwycięstwo pod Płowcami przyczyniło się do wzrostu wiary Polaków we własne siły i w ostateczne rozgromienie wroga, co nastąpiło kilkadziesiąt lat później na polach Grunwaldu.

I dzisiaj — w odrodzonej Polsce — rocznica płowiecka ma doniosłe znaczenie. Dla nas jest krzepiącym wspomnieniem zwycięskiego odparcia zakusów niemieckich na nasze ziemie.

I Niemcy pamiętają tę rocznicę. Jest dla nich groźnym ostrzeżeniem: wara od Pomorza!!

M. Nowicki (k. V).

Idealy!...

Gdzież są wasze ideały,
 Sen o sławie i o szpadzie?...
 I młodzieńczy lot zuchwały,
 Niewstrzymany w burzy, w gradzie!
 Marzy się — o dobrobycie,
 O zwycięstwie — wśród salonu!
 Blichtrzem tylko tanim lśnicie —
 Karły! I tak aż do zgonu?...
 Jeśli krzyk mój was nie zbudzi,
 Pójdę gdzieś na kraje świata,
 Gdzie się burza z wichrem brata
 I wykuwa w granit ludzi!!

W. Pawlak.

Echo z nad morza.

I znów przybyło jedno ogniwo więcej w łańcuchu, łączącym Polskę z morzem: ogniwem tem jest łódź podwodna „Ryś”, druga z kolei wybudowana przez stocznie francuskie dla naszej marynarki wojennej.

W dniu 14 sierpnia b. r. „Ryś” pod dowództwem kapitana marynarki Szystowskiego zawitał do ojczyzstego portu, z łatwością pokonując uciążliwą drogę Cherbourg—Gdynia.

Przybycie „Rysia” to fakt niecodzienny i nie można przejść nad nim do porządku dziennego, gdyż poza jego znaczeniem ściśle militarnem — posiada pewne znaczenie polityczne: ugruntowuje stanowisko Polski na morzu i podnosi Jej suwerenność w oczach zagranicy, będąc widowym znakiem, że wreszcie i Polacy zrozumieli, czem jest dla Polski morze i że potrafią go należycie obronić.

Na mocy traktatu wersalskiego Niemcy nie mogą budować łodzi podwodnych, to też z chwilą, kiedy w skład polskiej marynarki wszedł dywizjon łodzi podwodnych (ORP. „Wilk”, „Ryś” i „Żbik”) — będących wyrazem nowoczesnej techniki (długość ponad 80 metrów, wyporność nadwodna 1000 tonn, podwodna — 1250 t., aparaty torpedowe, artylerja, miny) — nasi zachodni sąsiedzi z pewnością już mniej zachłannym wzrokiem spoglądać będą ku wschodowi.

Łodzie podwodne — najkosztowniejsza i najstraszliwsza broń na świecie — już w czasie wojny światowej odegrały wielką rolę. Dziś — po latach kilkunastu, kiedy technika z każdym dniem czyni wielkie postępy — budowa ich doszła do perfekcji: zanurzenie łodzi dochodzi do 200 metrów, zasięg wprost nieprawdopodobny, gdyż łódź podwodna (np. typu „Ryś”) może bez uzupełniania paliwa i zawijania do portów — przebyć trzykrotnie drogę z Europy do Ameryki.

Na powierzchni wody łodzie podwodne poruszają się motorami spalinowymi Diesla, — pod wodą — zapomocą motorów elektrycznych, czerpiących swą energję z potężnych akumulatorów. Wewnętrzne urządzenie łodzi podwodnej jest tak skomplikowane — tyle tam przeróżnych maszyneryj, kół i kółek, przekładników, precyzyjnych przyrządów, motorków pomocniczych, nie mówiąc już o uzbrojeniu, przyrządach nawigacyjnych, sterach, aparatach tlenowych, radjostacjach i wszelkich środkach łączności — że doprawdy trudno jest uwierzyć, aby umysł ludzki był zdolnym uczynić rzecz tak wspaniałą w swej precyzyjności i technice!

Wewnątrz łodzi panuje cisza niezwykła — załoga — doborowi specjaliści w dziale radjotechniki, elektrotechniki, artylerji, torped, nawigacji i mechaniki — zdają się być podobni do owych zmechanizowanych „robotów”, spełniających automatycznie zgóry narzucone funkcje.

Łódź z chwilą zanurzenia się w głębinach morza, staje się prawie zupełnie ślepą: jedynie dowódca, dzięki peryskopowi, wystającemu nad powierzchnię wody — ma przed sobą pewne pole widzenia i komunikuje się ze światem zewnętrznym. Na dowódcy też ciąży wielka odpowiedzialność: on kieruje łodzią, artylerją i torpedami, on wydaje rozkazy do maszyn, a poszczególni członkowie załogi — spełniają tylko całkowicie jego polecenia.

W łodzi podwodnej, jak w zegarku, wszystko musi się wzajemnie uzupełniać, gdyż lada nieuwaga, przeoczenie, chybnienie sterami — a podwodny stalowy rekin zawija wraz z załogą, liczącą nieraz do 100 ludzi — do wieczystej przystani okrętów — przystani Neptuna.

Kierowanie ogniem torpedowym jest również rzeczą bardzo odpowiedzialną, jeśli się zważy, że jeden ostry pocisk (torpeda) kosztuje przeszło 120 tys. złotych, a aparatów do wyrzucania torped jest po kilka na jednej łodzi podwodnej.

Służba na łodziach podwodnych jest bardzo niebezpieczna, wymaga dużej odwagi, zimnej krwi, poświęcenia i trzeźwości umysłu — nie da się też nawet porównać z lotnictwem, bo z chwilą, kiedy samolot stał się już bardzo popularnym środkiem komunikacyjnym, z którego korzysta codziennie tysiące publiczności (nie wyłączając kobiet, dzieci i starców) — to z pewnością niejeden zdecydowany lotnik zawaha się zanurzyć łodzią podwodną w kilometrowych głębiach morza, gdzie wrzask wypadku — brak jest jakiegokolwiek wyjścia. *)

Większe łodzie podwodne posiadają dla celów zwiadowczych po dwa (lub więcej) hydroplany, wyrzucane zapomocą katapult.

*) W lecie b. r. zatonała na wodach chińskich angielska łódź podwodna „Poseidon” — grzebiąc wraz z sobą kilkudziesięciu ludzi z załogi. Budowa tej łodzi (2040 tonn pojemności) wyniosła zawrotną sumę przeszło 50-ciu milj. zł., sumę, za którą możnaby wybudować kilkadziesiąt samolotów wojskowych. (Patrz „Przegląd Morski”, miesięcznik marynarki wojenne, № 29/30 str. 1762 z roku bieżącego).

Świadomość, że w skład choćby zupełnie słabej floty nadwodnej wchodzi ły łodzie podwodne—wpływa demoralizująco na przeciwnika, to też Polska, posiadając obecnie najsilniejsze na morzu Bałtyckiem kontrtorpedowce („Wicher” i „Burza”) i łodzie podwodne, stanęła silną stopą nad skrawkiem własnego wybrzeża, którego my, marynarze, bronić będziemy wytrwale, w myśl zaszczytnego hasła: „Honor i Ojczyzna” — i złożonej przysięgi żołnierskiej na Wierność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Gdynia, w październiku 1931 r.

Zbigniew Gadomski, st. mar. specjalizowany

Morze!

Morze wielkie, nieznane, milczące —
Któżby odgadł tajemnic twych głębie!
Morze wielkie i takie kojące!...
Twój majestat do duszy mej sączy
Wiarę wielką i jak ty potężną,
I zapomnieć każe o udręce,
I odporną ją czyni i mężną!
Więc kocham twe szaleństwo, potęgę i głębie
Ja — twój syn — morze wielkie, żywołem tajemnel...

O. R. P. „Ślązak” na wodach estońskich,
czerwiec 1931 r.

Z. G.

Z notatnika marynarza.*)

25 października 1930 r.

W mglisty październikowy ranek powróciła do ojczystego portu „Iskra”—szkuner polskiej marynarki wojennej. Nie wiedzieliśmy dokładnie, kiedy należy spodziewać się jej powrotu, cieszyliśmy się więc szczerze, że wreszcie jest już „między swymi”.

„Iskra” opuściła Gdynię 7 maja, żegnana uroczyście przez władze wojskowe, duchowieństwo i tłumy marynarzy. Od chwili wyjazdu śledzieliśmy niecierpliwie losy okrętu, kierowanego śmiałą ręką dowódcy-kapitana marynarki de Waldena Stefana. Minąwszy Cherbourg — „Iskra” przyjmowana była bardzo serdecznie przez władze angielskie w Portsmouth, który opuściła 27. V. i mijając kanał La Manche — zawinęła po kilku dniach żeglowania do portu w La Luz (na wyspie Gran Kanaria). Następnie po

*) Patrz „Nasze Pismo” R. II Nr 7, 8, 9—10.

krótkim odpoczynku — „Iskra” znów znalazła się wśród bezmiarów oceanu. Wreszcie po blisko miesięcznym nieoglądaniu lądu — 14 lipca weszła do zatoki Santiago de Cuba. Tu miły kilkudniowy wypoczynek. Społeczeństwo kubiańskie bardzo sympatycznie odnosiło się do polskich marynarzy, starając się jaknajbardziej uprzyjemnić im chwile pobytu.

Najciekawszym i jednocześnie dość dramatycznym etapem podróży — okazał się odcinek z Santiago de Cuba do New Portu w Ameryce Północnej.

Tu, w obecności wysp Antylskich, słynących z silnych sztormów — czekała naszych zuchów nielada przeprawa. Kolega mój, st. marynarz R. któremu zaraz po przybyciu „Iskry” z pływania nie dawałem chwili spokoju, zamęczając stale pytaniami o szczegóły tak pięknej podróży — uśmiecha się tajemniczo i odpowiada tylko na pytania, zachowując się ściśle po wojskowemu. Nie można wydobyć z niego cośkolwiek więcej, a temat jest tak emocjonujący, że trudno doprawdy nie pytać!

Wreszcie, nie tracąc napróżno słów, z wielką powagą i doświadczeniem starego żeglarza (blisko 13 tysięcy mil morskich na dalekich wodach!). — zaczął:

„W dziewiątym dniu po opuszczeniu Santiago de Cuba — pogoda była piękna, a morze tak spokojne, że okręt płynął siłą motoru. Ta niezwykła cisza kryła w sobie coś tajemniczego i groźnego zarazem. Na dalekim krańcu nieba ukazała się ciemna chmura, rosnąca z każdą chwilą. Nie ulegało wątpliwości — staliśmy w obliczu cyklonu. Czasu było niewiele. Aby osłabić straszliwą siłę orkanu — pośpiesznie zmniejszyliśmy ilość żagli. Morze stawało się z każdą sekundą niespokojniejsze. Nie upłynęło paru minut, a nawałnica schwyciła nas w swe objęcia. Nim zdołałem uprzytomnić sobie, co się wokół nas dzieje — już z przednich żagli pozostały tylko strzępki, a główne (grot i fok żagiel) pruły się, niby z pajęczych nici utkane, parte siłą nieokiełznaną huraganowego wichru!

— Już po naszej „Iskrze” — utkwiała mi w głowie koszmarna myśl. Ale w takich chwilach brak czasu na refleksje. Wszyscy pracowaliśmy zgodnie, zdając się być jedną duszą i ciałem z okrętem wobec żywiołu. Pierwszym zadaniem było opanować okręt, nadać mu kierunek, gdyż w przeciwnym razie szkwał zapędzi nas na pobliskie, zdradzieckie rafy. Chwilami nic nie widać i dopiero błyskawice, rozjaśniające ciemności pozwalają orientować się nieco w sytuacji. Przez pokład przewalały się fale kilkumetrowej wysokości. Raz dziób — to znów rufa wychylały się na powierzchnię, aby za chwilę zapaść z powrotem w głębinach. Chcąc posunąć się z jednej części okrętu na inną — można to było skutecznie jednocześnie przy pomocy rąk i nóg. Na wszystkie strony świata szły nadawane rękami radjotelegrafistów sygnały: „S.O.S.!!! S.O.S.!!! S.O.S.!!!” z podaniem znaków zawezwawczych i położenia okrętu.

Piekło Dantego było z pewnością niczem wobec tego, co działo się się na pokładzie „Iskry”. Wprawdzie nie było mowy o żadnej panice,

pracowaliśmy z zimną krwią, wykonując ściśle rozkazy Dowódcy i oficerów, ale wszystko w 99% przemawiało za tem, że walkę przegramy!

Zdawało się, że nic nie zdoła wyrwać nas z objęć śmierci. Jak na nieszczęście, do Dowódcy przyczołgał się jakiś marynarz i poprzez wycie wichru i plusk złowróżbny fal, piętrzących się wysoko ponad pokładem — rzuca:

— „Panie Kapitanie! Melduję posłusznie — w radiostacji pożar!!” — a tuż drugi:

— „Panie Kapitanie! Woda zalewa kabiny i pomieszczenia!”

Wszyscy rzucają się ratować, walcząc teraz z podwójnym żywiołem! Walczymy ostatkiem sił, z determinacją. Dowódca, jakgdyby się rozdzielił: wszędzie jest pierwszy — i tu go widać i tam !!

Ale widocznie Pan Bóg nie pragnął jeszcze wysłać nas wraz z „Iskrą” do wieczystej przystani okrętów — przystani Neptuna — gdyż huragan najniespodziewaniej przeminął. Odetchnęliśmy. Okręt był w rozpaczliwym stanie.

W cztery dni później „Iskra” łopocząc biało-amarantową banderą, zakotwiczyła na redzie New Portu (w Ameryce Północnej w stanie Rhode Island) gdzie okazało się, że dużo większe od „Iskry” okręty (w ilości kilku) spoczęły na dnie oceanu, nie wytrzymując natarcia cyklonu, a nasza maleńka kochana „Iskra” wyszła cało, ku ukrytemu niezadowoleniu Niemców, którzy wobec świata skreślili już „Iskrę” z listy okrętów wojennych Rzeczypospolitej Polskiej — zakończył opowiadanie mój małowówny kolega, patrząc się ostentacyjnie i z widoczną wyższością na mnie.

O tem, jak serdecznie przyjmowano „Iskrę” w Ameryce i czem było jej zjawienie się na drugiej pułkuli dla naszych rodaków — nie będę pisał w „Notatniku”, choć dużo o tem słyszałem od kolegów; brak jest tu miejsca i odpowiednich słów, które mi się należą do powiedzenia.

Może kiedyś, a może już niedługo — sam na niej popłynę na dalekie morza, to wówczas, doznając osobiście wrażeń i trudów takiej podróży — będę mógł coś więcej i ciekawiej napisać w swoim „Notatniku”.

Z. Gadomski.

Impresje jesienne...

Pożółkłe trawy...

Na pustki ugoru

Pada cień wieczoru...

Gaśnie złotawy

Pas nieba...

W. P.

Zalicanka...

Magda z Jaśkiem tak się zamazali w sobie, że jedno bez drugiego ani weź. Zobocys ich razem w dzień i wieczoramy się włócum. Ludzie widzum i godajum: „O, na złe im to wyńdzie“. Z Jaśka jest trochy ciamajda, ale niezgorso z nich pora. Magda dryp, dryp, a Jasiek capu łapu i tak chodzum.

Kole jesini narzeczyństwo zacyno wołać na ojców, żeby ich zynić. Anu jak zynić, to zynić, a ze sie lubium dyc kazdy widzi.

Zesły sie ojce i dawoj poredzać. Ale co — zacyny sie targować o grunt. Ojciec Jaśka myśli, że nie wiem co mo. Puno chciały pół gospodarki za dzieuchum, bo przecies do gruntu chłopoka zynium. Zbirały sie pore niedzil i ino swarzyły sie i nic z tego nie wysło. Jasiek struniuł od Magdy, bo stare mu godały, że jak z nium chodziuł nie bedzie, to uny same przyńdum w prośbe do niego. Ehe, ale matka Magdy jest sierdzisto, uina sie hunorem i nie kazała Magdzie wychodzić do Jaśka. Dzieucha płakała, ale cós robić.

W karnowole trafiuł sie Magdzie dobry i bogaty chłopok. Dzieucha az pisała za niem. I ozyniły sie. Całkiem dobrze zyjum. Z Magdy kobita gospodarno. Wi co i jak. U ni w chałupie porzundek az miło. A ile śwyrń chowo, kurów, gyńsi, kacków i dobrze ji sie wiedzie, a sama to robi, nie godzi sobie dziwki. Jasiek widzi to wszystko i skoda mu Magdy, ale teraz niech sie ino oblize. O, daleko mu sukać taki gospodyn!

Stare tys drapium sie w głowe i załujum, że Jaśka z nium nie ozy- niły. Bo jak wezmum jakiego siubrawca i majuntek pódzie na marne?

St. Lipiec (k. V).

Ach, jak mi szkoda...

Niewinnych dni, dziecinnych lat,
Gdy śmiał mi się szeroki świat,

Ach, jak mi szkoda...

Młodości mej przedziwnych snów,
Poezji tej, co jest bez słów —

Ach, jak mi szkoda...

Radości chwil, co znikły już
I błogich czuć przy blaskach zórz —

Ach, jak mi szkoda...

Prześniły się czarowne sny
Spłynęły już gorące łzy —

Ach, jak mi szkoda...

M. Dzieciuchowicz (k. V).

Z życia internackiego.

Siedzę nad „małym kotkiem” i pastwię się nad nim (a raczej on nade mną). Nagle z hałaśliwymi oznakami wesołości wpada Zygmunt. Co się stało? Skąd ten humor? — nie mogę się dogadać. Nareszcie wykrztusił: „No, dzisiaj to już złamiesz odwieczny ślub, unikania wody od rana do rana. P. Dyrektor sam sprawdza, kto się myje”. Rzucam książkę i pędzę na dół.

Na korytarzu niezwykle ruch. Szereg białych postaci (w negliżu) biegnie chyłkiem do umywalni. Wybrańcy losu, którym czuła intuicja kazała dziś umyć się przed dzwonkiem, śmieją się z tego pochodu. Wymijam posępny orszak i niebawem myję się do samego pasa. Potem drogą dalece różną od prostej (celem uniknięcia niebardzo przyjemnego spotkania z władzą w tych szczególnych okolicznościach) docieram do sypialni. „Rocho” znów w śmiech: — „Stacho już śpi? czekaj teraz jego wysłemy”. „Szkoda, niech sobie śpi myślę, ale „Roch” podskakuje i „cabas” go za nogę. Przebudził się i patrzy na nas wylekniony. — „P. Dyrektor woła cię do mycia” — powiedziałem poważnie. Nie chce wierzyć. „Rocho” opowiada wszystko dokumentnie. „Dajcie mi wody” — wrzasnął. Wytrzeszczamy oczy. „Krop do umywalni!” — nalegamy. Ale on nie rusza się z łóżka, tylko wody krzyczy. A może go „zemgliło”? „Łabas cabas” i już ma tę wodę. Patrzymy, co to będzie. Oto wychyla się z łóżka i „mach” do pralni fryzurerę.

Porwał nas śmiech, ale zaraz zaniepokoił się, jak też zakończy się ta wieczorna toaleta.

Śpieszył się biedak, lecz nie zdążył.

Zaledwie zdołał zmaczać włosy i krzyczy o ręcznik, a tu wchodzi p. Wychowawca.

Uśmielił się serdecznie ze Stacha, gdyż nie udał mu się eksperyment — zdradziła go zalana podłoga.

R. Andrzejewski (k. V).

Ognisko.

Nadeszła noc. Całunem swym objęła las i nasz obóz. Kształty drzew zaczęły się powoli zacierać. Wraz z mrokiem rozlewała się jakaś woń balsamiczna, napełniająca duszę człowieka niewysłowionym spokojem i radością. Zapanowała wokół cisza. Nawet gwarne życie obozowe przyćmiewało, lecz nie na długo... Odgłos komendy. Harcerze, owinięci w koce, zapełniają „pla. zbiórek”. Ciche szeregi ruszają do ogniska. Wkrótce ogień strzela jasnym płomieniem i oświetla roześmiane twarze harcerzy. Niebawem płynie pieśń, która rozbrzmiewa po lesie stokrotnym echem. Drzewo podaje drzewu słowa „Harcerskiej doli”. Po niej idą następne, coraz żywsze i coraz weselsze.

Dh. Komendant mówił o „życiu i obowiązkach harcerza”. Płomienne jego słowa, rozgrzewające nas do walki ze złem i do miłości Boga i Oj-

czyzny, utkwiliy każdemu głęboko w sercu. W dowód tego z piersi naszych wypłynęła pieśń „Nie damy Popradowej fali”. Powoli zaczęła znów opanowywać nas wesołość. „Łamignat” z „Mistrzem pionierki” zaczęli szermierkę słowną. Jeden drugiego przekonywał, że jest „szmatławym typem, fałszywym prorokiem”. Sprzeczka tych dwóch „szmondaków” doprowadzała nas do śmiechu. Niejednemu stanęły aż łzy w oczach, inny znów trzymał się za boki. Najserdeczniej śmiał się „Kapusta”, ponieważ w dość dużej odległości siedział od „Kozy”. Czuł się bezpiecznym.

Ognisko się dopala. Nakoniec śpiewamy piosenkę „Pawjany”. Modlitwa. Zasyłamy do stóp Wszechmocnego prośbę o opiekę:

O Panie Boże, Ojcie nasz,
W opiece swej nas miej,
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
Nam pomóc zawsze chciej!
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć,
Harcerskim prawom w życia dniach
Wiernymi zawsze być”.

Następuje pożegnanie sztandaru, który łoपोce nad obozem. Długi uścisk bratni i idziemy do namiotów na spoczynek. Obóz znów ogarnia cisza, którą od czasu do czasu przerywają głosy warty.

Chwil tych, spędzonych tak mile w gronie braci harcerzy, nie zapomnę nigdy. Płomień ogniska złączył nas nierozzerwalnym węzłem.

(H. Kobierzycki k. IV).

Kronika za wrzesień.

KURS I. Kurs liczy obecnie 32 uczniów, choć przy rozpoczęciu nauki było 36. W dniu 24 września odbyło się u nas pierwsze w tym roku zebranie, na którym wybrano zarząd. W skład zarządu weszli koledzy: — gospodarz Pikiewicz (zastępca Kucharski), skarbnik Ścisłowski (zastępca Kłosiński), kronikarz Dłużewski (zastępca Soczyński). Na zebraniu był obecny p. profesor Opolski. Mając już zarząd, możemy się zabrać do pracy miłej i koleżeńskiej. Nasz kurs uczestniczy w zebraniach L.O.P.P., a także w zebraniach Bratniej Pomocy. Trzeba nam iść wytrwale za przykładem starszych kursów i wspólnie pracować dla dobra własnego i ojczyzny. Jesteśmy młodzi i silni, więc będziemy się starać, by nie marnować czasu, lecz wypełniać go czynami tak, żeby życie nasze wyglądało jak kartki wypełnione literami. Życie płynie nam wesoło. Czasem w szkole ziewnie sobie który od ucha do ucha, lub krzyknie głośniej, a pani profesorka zacznie nam prawić morały. W domu (internacie) czas „zsuwa się” również szybko i tylko cisza jest jedyną chwilą, kiedy ustają koncepty i milkną hałasy. Ale czasem i podczas ciszy zdarzają się wesołe figle. Tak np. pewnego razu na cisy jakiś kolega bęcnał w ścianę pomidorem, z taką siłą, że ten rozprysnąwszy się obryzgał nam zeszyty i „łepetyнки”. Mieliśmy się już zwrócić do gospodarza ze skargą, ale że nie wypada skarżyć na kolegę, cios ten cicho zniesiliśmy. Jedna noc co jest chwilą spokoju, ale też nie zawsze.

H. Dłużewski (k. I).

KURS II. Z dniem drugim września stanęła nasza klasa znów na nogi. Coprawda, brakło kilku „z naszych”, ale zato są „weterani”, którzy

śmieją się z wszelkich trudności w nauce. Na kursie jest nas 28. Wakacje minęły i tylko pozostały wspomnienia, dla jednych przyjemne, a dla innych smutne. Z nowym zasobem sił stanęliśmy do pracy. Początkowo leń nie dawał nam „ugiąć karku” do nauki, ale kilka dwój z geografii i biologii wypędziły go. Radzi nieradzi bierzemy się do pracy. Wielką plagą było oddanie naszych „fryzur” do „pralni”. Ale trudno, trzeba się z losem pogodzić. Niektórzy z nas stają do próby o państwową odznakę sportową, która odbędzie się od 19 do 23 października. Mamy więc nadzieję, że otrzymamy medale. Przykro nam było, ponieważ nasz ukochany Ks. Prefekt wyjechał na ponowną operację, ale ku niezmiernej naszej uciechu ma wrócić już w początkach października i rozpocząć pracę. W tym roku przybył nam nowy przedmiot, którym jest muzyka. Dostarcza nam ona wielu przyjemności. Są także pomiędzy nami „wirtuozi”, którzy należą już do orkiestry.

Pilich Jan (k. 11).

KURS III. Rok szkolny rozpoczęliśmy „na dobre” 3 września. Gro-madka nasza liczy dziewiętnastu. W tym roku jest jeszcze większe zżycie, niż w zeszłym, bardziej już zacieśniły się węzły koleżeńskie. Wychowawcą naszym jest pan Kowalski, z czego jesteśmy bardzo zadowoleni. Naszym hasłem jest: „Ora et labora”! — Więc w myśl tej zasady rozpoczynamy pracę od Boga. 4-IX mieliśmy tylko trzy lekcje, ponieważ wzięliśmy udział w nabożeństwie żałobnym za duszę ś. p. Ministra dr. Sł. Czerwińskiego. 6-IX odbyło się zebranie kursowe, którego celem było zorganizowanie gminy. Z powodu nieobecności ks. Prefekta przez cały miesiąc nie mieliśmy religii i zebrania naszej „Sodalicji”. 14-IX. Mało tego. Nie mamy także lekcji matematyki i fizyki. Jest to bolesny cios dla naszych młodych matematyków, którzy z zamiłowaniem oddają się tej gałęzi wiedzy. Natomiast mamy więcej lekcji polskiego i gimnastyki. Przecież i w tym kierunku mamy „mistrzów” — poezji i sportu. Co się tyczy malarstwa, to przecież malarze nasi są już na drodze do pocucia piękna i myślą nad zorganizowaniem kółka malarskiego. Jest u nas przecież i chemik „organiczny”. Pracy już obecnie mamy ogrom, a cóż będzie, gdy jeszcze przybędzie religia, matematyka i fizyka? Nie brak u nas także „hec” i „breweryj”. Zewsząd dają się słyszeć narzekania, że III-ci kurs najgorszy. Czy najgorszy, to nie wiem. A że tam słyszy się powiedzenie: „Mądry jesteś jak Herkules”, to znać, że jesteśmy przejęci duchem klasycznym. Dużo też mamy pociechy z naszego „Fijołka”, który słynie z modnych konspektyków historycznych. 19-IX wzięliśmy udział w zebraniu naczelnej organizacji — „Bratniej Pomocy”. *Pruszczyk.*

KURS IV. Rok szkolny rozpoczęliśmy jak zwykle, wysłuchaniem Mszy św. Po ukończeniu nabożeństwa udaliśmy się do szkoły. Po dwóch miesiącach rozłąki czule witaliśmy się, tak z sobą, jak i z ławami szkolnymi. Złośliwi nawet dotąd podtrzymują oszczerczą fałsz, jakoby jedna z tych ław nie wytrzymała nadmiernie czułego powitania i pękła z radości wzdłuż całej swej szlachetnej linii. Jednym słowem, wesołość i rozczulenie cechuje całą klasę (łącznie z rzeczami materialnymi). Nieliczne tylko fizjognomie zdradzają, że ich właściciele zbierają w sobie wszystkie siły psychiczne (ćwiczenie aktualne, — zaczynamy studjować psychologję), aby pogodzić się z okropnym faktem powrotu do szkoły. Biada, gdy drogi tych posępnych indywiduów spotkają się. Ich walki wewnętrzne sumują się wtedy i ujawniają nazewnątr. Oto nie artykułowane odgłosy z za pieca dowodzą, że tam już taka katastrofa doszła do skutku. To „Tatar” z zacięciem iście wschodnim tłamsi „Faję”, ten zaś z kolei stara się w możliwie pogładowy sposób przokonać go, że ozdoba, jaką jest bujna fryzura,

nie we wszystkich okolicznościach daje przyjemne „samopoczucie”. Lecz czas koi wszelkie cierpienie. Już po kilku dniach „ferajna” zabrała się do „kucia”. Fakt, że pewien pilny zresztą skądinąd młodzieniec,—na kopę niemieckich słówek przy odpytywaniu pamiętał tylko jedno a mian.: „die Liebe”, należy do sporadycznych. Tłumaczy się to zresztą wielkiem zamiłowaniem osobnika tego do abstrakcji. Otóż, abstrahując od rzeczywistości kursowej, przenieśmy się do internatu. Północ. Małe światło księżycza oświeca uczelnię, w której (o tej nawet porze) kiwa się cały zastęp czwartaków nad książką. Wtem, wśród głębokiej ciszy, odzywają się, jakby z pod ziemi, jakieś niesamowite jęki, coś jak straszna skarga upióra lub wyzwalanie się czarnej duszy z grzesznego cielska. Jękom towarzyszą niemniej upiorne trzaski. Włosy nam stanęły dębem na głowie. Momentalnie wujemy jak na komendę do sypialni, za nami zaś goni błądy strach i... trzaski, tym razem znacznie głośniejsze. Nazajutrz dopiero ta niesamowita przygoda znalazła realne wyjaśnienie. Oto, jak się okazało, pewien osobnik obchodził, trochę może za szumnie, dzień swego patrona. Nie mielibyśmy może nawet szczęścia o tem się dowiedzieć, gdyby wyłączył z programu uroczystości nielegalną t. j. bez zagranicznego paszportu odbytą podróż do jednego z portów Łotwy (podobno stolicy).

T. Chmielowski.

KURS V. Po wesoło spędzonych wakacjach nastała praca na ławie szkolnej. Wypoczęci umysłowo i zdrowi fizycznie, postanowiliśmy z całą sumiennością i starannością oddać się nauce. 2-IX rozpoczęliśmy zajęcia nabożeństwem. Pierwsze chwile w murach szkolnych spędziliśmy z wychowawcą p. prof. Parnowskim na miłej i szczerzej pogadance. Potem koledzy wzajemnie dzielili się miłemi doznaniem wakacyjnymi. 4-IX byliśmy na mszy św., odprawionej na intencję ś. p. Min. W.R.O.P. dr. Sławomira Czerwińskiego, który wielkie zasługi położył na polu oświaty w odrodzonej Polsce. Niech pamięć Jego imienia nigdy nie zaginie w narodzie za Jego wielką pracę dla Ojczyzny. 5-IX odbył się wybór zarządu do naszej gminy. Grupa nasza narazie jest nieliczna, gdyż „weterani” jeszcze odpoczywają. Dotychczas lekcje nie idą nam tak sprawnie (być może, że wakacje nas troszkę odciągnęły od tej pracy), ale wdrożenie powoli następuje. W pierwszym tygodniu „deutsch sprache” mieliśmy w ogrodzie. Po tych lekcjach zawsze czuliśmy duże zadowolenie i pragnęliśmy więcej takich godzin. Lecz niestety! nie było ich więcej. Co tydzień hospitujemy kilka lekcji w oddziale I-ym, które budzą w nas zainteresowanie, ujawniające się w obszernych spostrzeżeniach w zeszytach hospitacyjnych i żywych dyskusjach na konferencjach. Z niecierpliwością oczekujemy lekcji praktycznych, gdyż chcemy przekonać się o naszym uzdolnieniu pedagogicznym. W tym miesiącu nie mieliśmy religii, gdyż ks. prefekt wyjechał do Warszawy na operację. Współczujemy naszemu kochanemu ks. prefektowi i pragniemy jak najszybszego jego powrotu. 20-IX wznowiliśmy działalność „Koła literackiego.” Jego zarząd ujęli w swe ręce piątacy. W innych organizacjach, istniejących na terenie naszego Seminarjum również bierzemy udział i niemal im przewodzimy. Uwydatnia się tu nieco życia i młodzieńczego zapału do pracy społecznej, który jest tak bardzo potrzebny nam, jako przyszłym nauczycielom. 24-IX pisaliśmy klasówkę z polskiego na temat: „Postaci bohaterskie w poezji naszych wielkich romantyków”. 25-IX powołaliśmy do funkcjonowania „Kółko Pedagogiczne”. Pod koniec miesiąca nie mieliśmy matematyki. Cieszyli się z tego wszyscy „dobrzy matematycy”! 26-IX odbyła się pierwsza lekcja próbna jednego z kol. Wypadła ona nienajgorzej. *Z. Kowalski.*

Odpowiedzi Redakcji.

Trynkus Zygmunt (k. IV). „Mój znajomy Azryl” w koszu. Stwierdziliśmy, że kolega doskonale potrafi naśladować tutejszy żargon żydowski. Może jednak nie każdy przeciętny czytelnik będzie zdolny do takiego wylamywania języka, by móc artykuł kolegi przeczytać. Inaczejby się sprawa przedstawiała, gdyby cały obrazek napisany był w języku literackim, a tylko fragmenty rozmów podawane były w żargonie. (Może zna kolega w podobny sposób pisane nowele Klemensa Junoszy).

W. Pogorzała (k. III). Próba poetycka zawiodła. Wiersz „Zapytałem raz” nieudolny. Kolega nie ma wyczucia poetyckiego, jeżeli np. każe wiatrowi chwalić Boga głosem „wyciem po nocy”.

Z rozprawki „Czuwaj!” także nie skorzystamy, gdyż wydaje się nam, że właściwa ideologia harcerska została tam nieco spaczona. Zaciekały nas pewne reminiscencje literackie, prawdopodobnie nieświadome. Widoczny jest np. wpływ Skargi: „Jesteśmy przyszłością Ojczyzny, która nas urodziła i wychowała”, lub „służmy wiernej tej najmilszej matce”. Bardzo często operuje kolega pięknymi hasłami, aż za często i za łatwo. Zupełnie nieuzasadnione są w rozprawce refleksje na temat krótkości życia ludzkiego: „Bo życie człowieka, to chwilka czasu, przybywa nikt nie wie skąd i znów ucieka niewiadomo dokąd i kiedy”.

St. Kulibabski (k. V). Temat pracy „Z rozrzuconych wycieczkowych” jest wartościowy, lecz wykonanie zbyt dorywcze i pośpieszne. Warto do tej pracy powrócić i opracować w ten sposób, aby żywo i barwnie przedstawić epizody wycieczek, a czytelnikowi pozostawić snucie refleksyj, które same się powinny narzucić.

Leonard Pyrza (k. IV). „O tem i owem”. Kolega w zapędzie przekroczył linię demarkacyjną humoru i wszedł w strefę dowcipów o wątpliwym smaku. Jako przykład moglibyśmy podać owe „pierwszorzędnej wartości morały” lub tworzenie zastępu wielonosych obywateli kursu. Czyż naprawdę kurs składa się z takich poczwara, jak „draj — i firnosy”?

Redakcja.

Podziękowanie.

Zarząd miejscowego Koła LOPP. składa niniejszem na ręce p. prof. J. Heybowiczówny, opiekunki koła szkolnego LOPP., serdeczne podziękowanie młodzieży Seminarjum za zakupienie 14 cegiełek na fundusz budowy lotnisk w woj. warszawskim. Mogielnica, w październiku 1931 r.

(—) S Traugutt.

Sprostowanie.

W artykule p. t. „W odpowiedzi”, drukowanym w poprzednim (1) numerze „Nasz. Pisma” na str. 12, po słowach: „Drugi zarzut...” opuszczono: „dotyczący wiersza p. t. „Alleluja” — co się niniejszem prostuje.

CENA NUMERU 60 GR.
